

Od października do grudnia. (O książce Konrada Rokickiego)

**Rec. : Konrad Rokicki, Literaci. Relacje między
literatami a władzami PRL w latach 1956-1970.**

Warszawa 2011

Michał Głowiński

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

(Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa)

OD PAŹDZIERNIKA DO GRUDNIA
(O KSIĄŻCE KONRADA ROKICKIEGO)

Konrad Rokicki, *LITERACI. RELACJE MIĘDZY LITERATAMI A WŁADZAMI PRL W LATACH 1956–1970*. (Recenzenci: Andrzej Friszke, Dariusz Jarosz. Indeks osób: Inga Jaworska-Róg). Warszawa 2011. Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, ss. 560 + wklejki ilustr. (s. 561–592).

Autor nie jest badaczem literatury, jest historykiem, napisał jednak książkę dla naszej dyscypliny ważną, gromadzącą ogromną wiedzę o tym, co stanowi bezpośredni przedmiot dociekań, istotną jednak także dla wszystkich, którzy badają piśmiennictwo czasów PRL-u w całej jego rozciągłości, a więc nie sprowadzają swych zainteresowań do 14-lecia, gdy rządy dzierżył Władysław Gomułka. Istotną z wielu względów – wymieńmy dwa przynajmniej: po pierwsze, mimo że książka zajmuje się swoistościami tego okresu, różniącego się pod wieloma względami tak od lat poprzedzających, jak od dziesięcioleci późniejszych, pokazuje pewne ogólne mechanizmy PRL-owskiej rzeczywistości kulturalnej, które nie zaczęły się z momentem powrotu Gomułki do władzy i nie zakończyły się wraz z jego upadkiem. Po drugie, nasuwa ona problemy metodologiczne, które nie ograniczają się tylko do badań dotyczących tej wydzielonej części, mają w pewnej mierze charakter ogólny, aczkolwiek podlegają takim czy innym przekształceniom i fluktuacjom.

Jednym z głównych walorów książki Rokickiego jest to, że przedmiot analizy został ściśle określony. W istocie – jeśli mówi się o stosunku władzy do literatów w systemie autorytarnym – mogła ona dotyczyć wszystkiego, nie tylko bezpośrednich działań politycznych, nie tylko inwigilacji środowiska, rządząca partia dysponowała bowiem najróżniejszymi narzędziami, służącymi regulowaniu wszelkich spraw, miała na zawołanie potężny urząd cenzury, dyrygowała wydawnictwami, nawet dystrybucja papieru, a więc jego przydziały przeznaczone na publikację prac autorów współczesnych, zależała od arbitralnych decyzji partyjnych szefów i stała się przedmiotem manipulacji (o tej sprawie, trudnej do pojęcia w epoce wolnego rynku, w książce wielokrotnie się wspomina). Więcej, jednym ze sposobów oddziaływania na środowisko literackie był świadomie w epoce Gomułki praktykowany szantaż ekonomiczny: jeśli nie będziecie siedzieć cicho i spokojnie, jeśli nie przestaniecie buntować się i nas krytykować, pozbawimy was możliwości zarobkowych albo znacznie je ograniczymy (w tamtych czasach spora liczba literatów żyła z pióra lub przynajmniej z pióra żyć pragnęła, uważając, iż to się należy zawodowi pisarza). Rokicki jest wszystkich tych współczynników doskonale świadom, wspomina o nich w odpowied-

nich momentach, mniej lub bardziej szeroko je uwzględnia, jednakże głównym przedmiotem jego rozważań jest ujmowana w rozmaitych aspektach konfrontacja między władzami partyjnymi a środowiskiem pisarskim. Swoistość omawianego okresu stanowi to, że owymi buntującymi się pisarzami byli głównie członkowie PZPR, w wielu wypadkach mający przybrudzoną, a niekiedy nawet zaszarganą biografiami w latach stalinowskich. W przeciwieństwie jednak do znanej książki Anny Bikont i Joanny Szczęsnej nie ogranicza się Rokicki do relacji o losach tych pisarzy, którzy mieli w swym *curriculum vitae* mniej lub bardziej obszerny epizod stalinowski¹, ale potem z więzów ideologii komunistycznej się wyzwolili i w wielu wypadkach włączyli się w działalność opozycji demokratycznej. Spektrum przyjęte w tej książce jest szersze, aczkolwiek i tutaj nie ogarnia się całości, brak co najmniej dwu środowisk – z pozoru sobie bliskich, bo w obydwu przypadkach uznających się za katolickie, w istocie zaś diametralnie przeciwnych, a mianowicie kręgów „Tygodnika Powszechnego” z jednej strony, z drugiej zaś tzw. postępowych katolików (przez przeciwników często nazywanych reżimowymi), czyli „Paxu”. Dzieje „Tygodnika Powszechnego” stały się przedmiotem wielu analiz i relacji (jak o tym świadczy niedawno opublikowana książka Romana Graczyka, czasem dalekich od rzetelności). Przedstawienia historii usługnych wobec PZPR pisarzy skupionych wokół Bolesława Piaseckiego nikt jeszcze – jak się zdaje – nie podjął, choć jest to temat wysoce frapujący, a samo zjawisko stanowiło PRL-owską osobliwość, w innych krajach tzw. obozu socjalistycznego bowiem struktur paralelnych, o ile wiem, nie było.

W latach gomułkowskich, jeśli chodzi o relacje na linii partia–pisarze, najważniejsze było to, co się działo w Oddziale Warszawskim Związku Literatów Polskich i działającej w jego obrębie Podstawowej Organizacji Partyjnej, której przewodził Jerzy Putrament i która służyła transmisji żądań i poleceń władz partyjnych. Zarówno wymagane przez statut zebrania Oddziału Warszawskiego, jak i te, które zorganizowano jako odpowiedź na aktualne wypadki (chodzi o słynne zebranie 29 lutego 1968, związane ze zdjęciem ze sceny Teatru Narodowego Dejmowskiego przedstawienia *Dziadów*), były ważnymi wydarzeniami nie tylko dla środowiska literackiego, nabierały znaczenia publicznego, wieść o tym, co się w ich czasie działo, rozchodziła się względnie szybko i szeroko. A mówiono tam nie tylko o sprawach cenzury i jej fatalnej roli w życiu kulturalnym, także o kwestiach, które dla reżimu były równie lub jeszcze bardziej drażliwe, by wspomnieć o apelach w sprawie usunięcia z polskiego prawa kary śmierci.

W konflikcie literatów z partią wyraźnie zarysowywały się obydwie strony, nie sprowadzające się bynajmniej do podziału: pisarze nie należący do partii (niektórzy niedawno z niej wystąpili lub zostali z niej usunięci z powodu niesubordynacji ideologicznej) oraz pisarze będący jej członkami. Autor słusznie podkreśla, że podział na pisarzy bezpartyjnych i należących do partii nie ma charakteru dychotomicznego („zero-jedynkowego”, jak to nazywa), podziały przyjmowały kształt znacznie bardziej skomplikowany, duża część członków Związku (zwłaszcza reprezentujących mniejsze ośrodki) do konfliktu się nie włączała i w istocie była mu niechętna, przede wszystkim z tej racji, że obawiała się odwetowych działań ekonomicznych, którymi nieustannie grożono. Do konfliktu odnosiła się z rezerwą spora grupa pisarzy do partii należących. Rokicki konstatuje: „Z grubsza rzecz ujmując, powody poparcia systemu komunistycznego przez pisarzy można podzielić na trzy kategorie: przyczyny materialne, względy ideologiczne oraz postawy dostosowawcze. Zresztą najczęściej w jakimś stopniu występowały one obok siebie” (s. 79). Poparcie

¹ A. Bikont, J. Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*. Warszawa 2006. Zob. także artykuł D. Kuleszy *Komunizm, socrealizm, opozycja: powojenna historia kilku polskich pisarzy. Wokół książki Anny Bikont i Joanny Szczęsnej „Lawina i kamienie”* („Pamiętnik Literacki” 2009, z. 2).

– dodajmy – w wielu wypadkach miało charakter bierny, wynikało z przeświadczenia, że lepiej się nie narażać, zwłaszcza iż trudno liczyć, że bunt przyniesie pozytywne rezultaty.

Rokicki szeroko i rzetelnie przedstawia obydwie strony konfliktu. Trzeba od razu zaznaczyć, że stronę opozycyjną stanowili w większości pisarze znani i uznani, o dużym dorobku, rozpoznawalni w życiu literackim, czy publicznym w ogólności, w kilku wypadkach nawet popularni wśród szerokich rzesz czytelników, choć i w tej grupie znaleźli się literaci praktycznie nikomu wtedy, a tym bardziej dzisiaj, nie znani². Stronę partyjną już wtedy reprezentowali pisarze z ostatniej ławki; bardziej znani, choć też drugorzędni, byli bodaj dwaj tylko: Putrament i Bratny. Tym się ówczesna sytuacja różniła od tej o kilka lat wcześniejszej – Leon Kruczkowski był ortodoksyjnym komunistą, jednym z gorliwych realizatorów stalinowskiej polityki kulturalnej, nie można jednak zaprzeczyć, że napisał co najmniej dwa wybitne, liczące się utwory: w okresie międzywojennym powieść *Kordian i cham*, którą poważnie potraktował Karol Irzykowski, a tuż po wojnie dramat *Niemcy*. W okresie omawianym w tej książce organizację partyjną reprezentowały postacie w ogóle się nie liczące, jak dwie Janiny: Broniewska i Dziarnowska, czy autorzy w rodzaju Henryka Gaworskiego i Józefa Lenarta. Partyjność była ich racją bytu.

Wielkim walorem książki Rokickiego jest to, że unika on wszelkich bezpośrednich ocen, nie jest lustratorem, jako swoje zadanie widzi analizę pewnych sytuacji historycznych i stara się operować narzędziami, które ją umożliwiają, służąc zobiektywizowanemu opisowi. Z konieczności musi się posługiwać kategoriami, które wówczas funkcjonowały. Traktuje je z chwalebny dystansem, nie operuje nimi jako dogodnymi etykietami, pozwalającymi na łatwe uszeregowanie zjawisk i działających figur. Powiedziałbym, że w przywoływaniu ich jest przezorny. Przykładem szczególnie dla relacji o tamtych czasach doniosłym jest wspomniana tu kategoria „pisarzy partyjnych”. Wydawałoby się, że przyjąć ją można jako oczywistą, byłaby to wszakże sugestia błędna, Rokicki słusznie już u początku swych dociekań stwierdza: „wśród wielu podziałów, jakie można by przeprowadzić w środowisku pisarzy, podział na pisarzy partyjnych i bezpartyjnych bywa wyjątkowo mylący” (s. 24). Oczywiście, można kategorię tę rozumieć dosłownie: pisarz partyjny to ten, który do PZPR należy. Tak była ona niewątpliwie stosowana; gdyby jednak pozostać przy tym rozumieniu elementarnym, prowadziłoby to – Rokicki świetnie to ujmuje – do podziałów dychotomicznych i w konsekwencji do rażących uproszczeń. Rzecz można sformułować tak: z jednej strony nie każdy członek Związku Literatów mający w kieszeni czerwoną legitymację może zostać określony jako pisarz partyjny, z drugiej zaś – nie trzeba było należeć do PZPR, by w sensie nieformalnym być pisarzem partyjnym (pojawiała się też kategoria „pisarzy pozytywnych”, zob. s. 324). Po jednej stronie mamy zatem literatów należących do partii, którzy nie spieszą się do realizowania partyjnych dyrektyw, po drugiej takich, którzy wprawdzie do partii nie należą, ale chętnie popierają jej politykę i się w nią włączają – z różnych powodów: bo są „bezpartyjnymi bolszewikami” (takich w omawianym 14-leciu było już chyba niewiele), bo są cynicznie interesowni, wreszcie reprezentują organizacje bądź instytucje sojusznice, co w tym przypadku przeważnie oznaczało usługowe (najlepszym przykładem są literaci związani z „Paxem”, choćby Wojciech Żukrowski, ale o członkach Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego też nie należy w tym kontekście zapominać – tu można wymienić pisującego wiersze urzędnika związkowego, Jana Marię Gisgesa). Podział ten nie obejmował całego środowiska i nie mógł prowadzić do respektowania podziałów dychotomicznych z jeszcze jednego powodu ogromnej wagi: w jego obrębie działali agenci, donosiciele, różnego rodzaju wtyczki. Nie musieli się oni deklaruować jako pisarze partyjni, mogli, a chyba nawet powinni udawać, że do niczego się

² Przykładem dobitnym jest Michał Mirski, którego nazwisko pojawia się w książce aż 10 razy. Był – jak z tekstu wynika – rozczarowanym komunistą (a później marcowym emigrantem), ale co napisał i na jakiej podstawie został członkiem ZLP, pozostaje niewiadomą.

nie mieszają, stoją na boku, zachowują wobec toczących się sporów i wobec wybuchających przy różnych okazjach konfliktów postawę neutralną. Składane przez nich raporty są główną podstawą materiałową książki Rokickiego.

W tym miejscu właśnie dochodzimy do zasadniczego problemu metodologicznego: jak z tych raportów korzystać, jak je traktować, by wyluskać wiedzę, jednocześnie nie stając się ofiarą zawartych w nich kłamstw, insynuacji, oszczerstw? Jak wiemy, jest to problem, z którym borykają się historycy zajmujący się Polską Ludową. Nie jest tajemnicą, że niektórzy podchodzą do sprawy naiwnie, postrzegając w ubeckich (esbeckich) dokumentach niekwestionowane źródło zasługujących na wiarę relacji, często tworzonych dla doraźnych korzyści politycznych. Od razu powiem, że Rokicki rozwiązuje ten problem wzorowo, w sposób godny uczonego, którego interesuje dotarcie do tego, jak było naprawdę. Nie umniejsza to wszakże pytań, przed którymi stanął, i nie minimalizuje trudności – powiedziałbym nawet więcej: potęguje je, skoro chodzi o cele poznawcze, a nie o manipulowanie rzeczami, znajdującymi się w dokumentach. Kłopot podstawowy polega na tym, by uświadomić sobie w pełni, jakiego typu przekazy ma się do dyspozycji. Kwestia „literatura i władza”, gdyby przyjąć pewnego rodzaju założenia, mogłaby sprowadzać się do problemów inwigilacji i donosicielstwa; wówczas dokumenty wytwarzane przez esbeckich agentów byłyby bezpośrednim przedmiotem opisu, książka ograniczająca w ten sposób swoje zadania dotyczyłaby jednak dziejów służb specjalnych i metod ich pracy, czyli technik stosowanych w państwie policyjnym, jedynie na marginesie mogłaby obejmować wypadki istotne dla środowiska literackiego. Wówczas pytanie by brzmiało: jak dokumenty takie zostały pomyślane, jak funkcjonują, na co zwraca się w nich uwagę? To, co mówią o świecie, którym się zajmują, byłoby sprawą drugorzędną bądź w ogóle nieistotną.

Jednakże przedmiotem dociekań i analiz w książce Konrada Rokickiego nie jest działalność donosicielska, są nim konflikty między pisarzami (należałoby raczej powiedzieć: ich grupą) a ekipą Gomułki. Dokumentacja w tej materii jest ogromna, obok raportów sporządzanych przez agentów – różnego rodzaju archiwalia, teksty dygnitarzy partyjnych, ale też ogłoszone drukiem po zmianie ustrojowej dzienniki pisarzy (i nie tylko pisarzy). Uwzględniła autor także publikacje swoich poprzedników, w tym chyba niedocenioną pracę Krzysztofa Woźniakowskiego³, jednakże jeśli chodzi o rozprawy ściśle historyczno-literackie, pojawiają się nie wszystkie z tych, które powinny zostać uwzględnione⁴. W sumie bogactwo materiałowe tej książki jest imponujące, chociaż szkoda, że autor nie sięgnął po metody *oral history* i nie porozmawiał z ostatnimi żyjącymi uczestnikami wydarzeń czy też świadkami epoki, którzy je z większą lub mniejszą dokładnością zachowali w pamięci, aczkolwiek na fakty będące przedmiotem rozważań patrzyli z oddali bądź z boku⁵.

Problemem podstawowej wagi jest stosunek do ubeckich raportów i doniesień. Jak już wspominałem, Rokicki zachowuje wobec nich dystans, nie jest historykiem naiwnym, który powtarza z dobrą wiarą to, co zapisał znany z nazwiska lub anonimowy donosiciel. Niekiedy jednak ulega takim czy innym ujęciom utrwalonym w dokumentach. Chodzi tu z reguły nie o wielkie sprawy, przede wszystkim o drobne błędy. Jest ich trochę: np. nie

³ K. Woźniakowski, *Między ubezwłasnowolnieniem a opozycją. Związek Literatów Polskich w latach 1949–1989*. Kraków 1990.

⁴ Myślę tu przede wszystkim o książce G. Wołowca *Nowocześni w PRL: Przyboś i Sandauer* (Wrocław 1999).

⁵ Gdyby autor zdecydował się na rozmowy z tymi, którzy w życiu literackim uczestniczyli (lub je obserwowali), z pewnością nie traktowałby tak poważnie Alicji Lisieckiej, osoby wprawdzie mocno hałaśliwej, będącej klasycznym przykładem inteligentnej *career woman*, ale przecież niewiele znaczącej. W jednym z przypisów zacytowano wprawdzie trafną opinię Rakowskiego o Lisieckiej, ale nie wyciągnięto z niej wniosków. Zob. nader krytyczny portret Lisieckiej w książce R. Matusewskiej o *Alfabet. Wybór z pamięci 90-latka* (Warszawa 2004).

było literata o nazwisku Kurhan, był Zbigniew Kuthan; łódzki literat Jażdżyński nosił imię Wiesław, nie – Witold; Janusz Krasiński trzymany był w więzieniu nie przez lat 5, ale przez 9 (tak w każdym razie wielokrotnie o tym pisał); prezes Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych nazywał się Maklakiewicz, nie – Matlakiewicz; tajemniczy Słońcew to niewątpliwie Solżenicyn (w roku 1963 jego nazwisko nie było jeszcze – jak widać – dobrze wśród agentów znane). Listu w „Times’ie” w roku 1964 nie mógł podpisać George Bernard Shaw, bo zmarł kilkanaście lat wcześniej, mógł to zaś uczynić Irwin Shaw, autor słynnej powieści *Młode lwy*.

O tym, jak autorzy raportów mylili osoby i realia, świadczy następująca historia. Jan Józef Lipski znał osobiście Aleksandrę Palusińską, pracującą na Uniwersytecie Łódzkim, oraz Andrzeja Paluchowskiego, dyrektora Biblioteki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (a także jego żonę, Danutę Zamaćką-Paluchowską, cenioną profesorkę tego uniwersytetu). Nazwiska – nie da się ukryć – podobne. Mimo że chodziło o odległe miejsca i mające niewiele ze sobą wspólnego środowiska (poza tym, że w obydwu przypadkach relacja dotyczyła polonistów), autor raportu skontaminował różne osoby, utworzył postać fikcyjnego Andrzeja Palusińskiego, jakoby męża pani Palusińskiej (jej mężem był znany krytyk literacki, Lech Budrecki). Rozpisałem się o tym błędnym epizodzie, w żadnym wypadku nie zawinionym przez Rokickiego, bo pokazuje, iż za owym pomieszczeniem z poplątaniem również w sferze drobnych faktów kryć się mogą informacje fałszywe. W takich wypadkach agenci – nawet nie z powodów ideologicznych, ale przez zwykłe bałaganiarstwo – przekazywali wiadomości nierzetelne.

Przykrym błędem, który uznać można za swoisty wypadek przy pracy, jest to, co znalazło się na stronkach 401–402 na temat Janusza Szpotańskiego. Wiadomości o nim są niedokładne – nie był on nigdy bezdomny, przez lata mieszkał na warszawskim Powiślu, przy ulicy Dobrej, miał pokój w dużym mieszkaniu zajmowanym przez kilka rodzin, czyli w tzw. kołchozie, w latach późniejszych dorobił się własnego niewielkiego lokum. To akurat jest drobiazgiem, mój sprzeciw budzi taka ocena, niewątpliwie po części bezkrytycznie powtórzona za esbekami: „Szpotański śpiewał fragmenty tego odważnego, ale miejscami wulgarnego i grafomańskiego utworu [*Cisi i gęgacze, czyli bal u Prezydenta*] na przyjęciach i imprezach towarzyskich, w prywatnych mieszkaniach” (s. 401–402). Nie wątpię, że to tajny współpracownik określił w ten sposób utwór Szpotańskiego (choć pewnie nie od niego pochodzi wzmianka o odwadze), zwłaszcza że – na co Rokicki zwraca uwagę – agenci mieli skłonność do przyczerniania rzeczywistości, wulgarność była w tym utworze jednak świadomie zaprogramowana, a przymiotnik „grafomański” jest tu zdecydowanie nie na miejscu. Znałem dobrze Janusza Szpotańskiego, tę swą „operę” wykonywał kiedyś także w moim mieszkaniu, był człowiekiem wielkiej inteligencji, znakomicie czytany, dysponującym dużą kulturą literacką i filozoficzną, a także wirtuozowskimi umiejętnościami wierszowania. Zyskał wielką popularność wśród warszawskiej liberalnej inteligencji, która raczej nie byłaby skora do zachwycania się produkcjami poniżej poziomu. Wprowadził do polszczyzny sporo formuł, w środowiskach opozycyjnych (nie tylko w nich zresztą) mówiło się Szpotańskim. Sprawa ta pokazuje, jak trudno oddzielić referowane teksty od własnej narracji badacza.

Książka Konrada Rokickiego jest ważną publikacją dla historyka literatury zajmującego się czasami Polski Ludowej (nie tylko tego 14-lecia). Doskonale pokazuje, w jakich warunkach i w jakich kontekstach powstawały dzieła literackie (czy szerzej: artystyczne, bo to sprawa istotna dla wszystkich dziedzin sztuki), także te, które okazały się żywotne po latach, trwale weszły w obręb kanonu, stały się pozycjami klasycznymi. Przed kilku laty odbyło się w warszawskim oddziale PEN-Clubu zebranie dyskusyjne na temat polskiej kultury między Październikiem a Marcem, znakomici prelegenci – Barbara Skarga i Krzysztof Pomian – mówili w jego trakcie o niezwykłym rozwoju polskiej kultury w tym czasie, o kreatywnej eksplozji, zaznaczającej się nie tylko we wszystkich dziedzinach twórczości

artystycznej, ale także w naukach humanistycznych. Potwierdza tę opinię Rokicki w zakończeniu swojego dzieła:

„Ogólnie ujmując, nie było w opisywanych latach nacisków na twórczość w duchu realizmu socjalistycznego, choć od czasu do czasu padały z ust decydentów politycznych zapewnienia, że partia popiera taką literaturę. Wywoływało to obawy części środowiska przed powrotem do praktyk z okresu »inżynierii dusz«, ale były one na wyrost. W czasie rządów Gomułki mimo ingerencji cenzury ukazało się wiele wybitnych dzieł pisarzy polskich. Publikowano też liczne tłumaczenia z literatury obcej, w tym zachodniej, niedostępne w innych krajach bloku radzieckiego. Wychodziły liczne czasopisma społeczno-literackie, w tym wiele nowych, regionalnych. Były to więc dobre lata dla literatury, mimo systemu kontroli, jaki partia roztoczyła nad twórczością i twórcami” (s. 513).

Jest to optymistyczna pointa cennej i mądrej książki, poświęconej w ogromnej większości naciskom oraz przeszkodom, jakie mnożyła autorytarna władza w swym dążeniu do politycznego i ideologicznego spacyfikowania środowiska literackiego.

Abstract

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

(Institute of the Literary Research of the Polish Academy of Sciences, Warsaw)

FROM OCTOBER TO DECEMBER

(ON KONRAD ROKICKI'S BOOK)

The subject of Konrad Rokicki's book are relationships between the communist authorities under the rule of Władysław Gomułka (1956–1970) and the literary community. The author, considering rich archive materials, shows both the various pressures of the regime aiming at enslaving literature as the writers' resistance and the shaping of opposition movement. Konrad Rokicki is a historian, yet his book proves to be of great significance to Polish literature scholars and researchers in the literary activity of that time.